

SERIA Z KATE DANIELS 2

ILONA ANDREWS

MAGIA
PARZY



ILONA ANDREWS

MAGIA PARZY

TŁUMACZYŁA
ANNA CZAPŁA

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Seria z Kate Daniels:

- 1. Magia kęsa*
- 2. Magia parzy*
- 3. Magia uderza*
- 4. Magia krwawi*
- 5. Magia zabija*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Telefon zadzwonił w środku nocy. W miasto właśnie uderzyła fala magii, więc teoretycznie nie powinien działać, ale działał. Zadzwonił drugi, trzeci raz, jakby oburzony, że go ignoruję, i dzwonił tak, dopóki nie sięgnęłam po słuchawkę.

– Taaak? – spytałam, ziewając.

– Mamy nowy dzień, Kate – usłyszałam miły głos, co mogło sugerować, że po drugiej stronie kabla znajduje się szarmancki, kulturalny, przystojny mężczyzna, czyli ktoś, kim na pewno nie był Jim. A przynajmniej nie w swojej ludzkiej postaci.

Przetarłam oczy, starając się dojrzeć wskazówki zegara wiszącego na ścianie.

– Jest druga w nocy, Jim – oznajmiłam. – Jakbyś nie wiedział, to niektórzy ludzie śpią o tej porze.

– Mam zlecenie.

Słowa Jima sprawiły, że natychmiast usiadłam na łóżku, całkiem rozbudzona. To była dobra wiadomość – potrzebowałam pieniędzy.

– Forsą dzielimy się po połowie – stwierdziłam tonem, który wyraźnie sugerował, że nie dopuszczam innej możliwości.

– Dostaniesz jedną trzecią – negocjował Jim.

– Połowę – powtórzyłam spokojnie.

– Trzydzieści pięć procent – głos Jima przestał być łagodny i miły.

– Połowę – nie ustępowałam.

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Widać mój były partner z Gildii mocno się nad czymś głowił, aż w końcu usłyszałam:

– No dobra, czterdzieści.

Gdy odłożyłam słuchawkę, w sypialni zrobiło się cicho. Nie zasunęłam zasłon, więc przez metalowe kraty chroniące okno od zewnątrz wpadało do pokoju rozproszone światło księżyca. Księżycowa poświata działała jak katalizator i kraty błyszcząły niebieskawą patyną w miejscach, gdzie srebro wchodziło w reakcję z zakłęciami ochronnymi. Za tymi kratami spało miasto niczym wielka, ociążała, legendarna bestia; było ciemne i zadziwiająco spokojne. Kiedy magia odpłynie, co oczywiście prędzej czy później nastąpi, bestia obudzi się eksplozją elektrycznych świateł i przy akompaniamencie wystrzałów z broni palnej.

Co prawda moje zakłęcia ochronne nie zatrzymywały kul z pistoletu, ale doskonale chroniły sypialnię przed magią, a to mi w zupełności wystarczało.

Ponownie rozległ się dźwięk telefonu. Pozwoliłam, by zadzwonił po raz drugi, zanim podniosłam słuchawkę.

– Wygrałaś – powiedział Jim. Z jego gardła wydobywał się dźwięk przypominający ciche warczenie. – Dostaniesz połowę.

– Gdzie jesteś? – spytałam.

– Na parkingu tuż pod twoim oknem, Kate.

Dzwonił z telefonu w budce, który również nie powinien działać. Sięgnęłam po ubranie przyszykowane obok łóżka właśnie na takie okazje, jak dzisiejsza.

– Co to za robota? – spytałam jeszcze.

– Jakiś szajbnięty podpalacz.



Czterdzieści pięć minut później schodziłam w dół krętymi korytarzami podziemnego garażu, który wskazał Jim. Ponieważ nie działało żadne oświetlenie, bez pomocy latarki widziałam na odległość mniej więcej pięciu centymetrów. Oczywiście do momentu, kiedy z ciemnych czeluści nie wyłoniła się ognista kula pędząca wprost na mnie. Była ogromna i mieniła się na przemian jaskrawą żółcią i czerwienią. Uskoczyłam za betonowy słup, czując, jak ręce, w których trzymałam nóż do rzucania, wilgotnieją od potu. Owionęła mnie fala gorąca. Przez chwilę nie mogłam nawet oddychać, a potem ściana ognia przetoczyła się obok i eksplodowała iskrami na przeciwniejszej ścianie.

W tej samej chwili usłyszałam, jak gdzieś z głębi garażu dobiega piskliwy rechot. Wychyliłam się ostrożnie, oparta o słup i zerknęłam w kierunku,

z którego dochodził śmiech. Nie zobaczyłam nic prócz ciemności. Dlaczego, do cholery, uderzenie techniki nie może nigdy następować wtedy, kiedy najbardziej go potrzeba?

Dokładnie naprzeciwko mnie, za następnym rzędem betonowych słupów podpierających strop, Jim podniósł rękę i kilka razy dotknął palcami kciuka, jakby pokazywał otwierający się i zamykający dziób. Negocjacje. Chciał, żebym skupiła na sobie uwagę szaleńca, który właśnie zamienił czterech ludzi w smażone steki? Dobra. Mogę to zrobić.

– W porządku, Jeremy! – krzyknęłam w ciemność. – Daj mi salamandrę, a w zamian ja nie odetnę ci głowy!

Kątem oka widziałam, jak Jim zasłania usta i zaczyna się trząść. Prawdopodobnie śmiał się z tego, co powiedziałam, ale nie mogłam być pewna. W przeciwieństwie do niego, nie miałam zdolności widzenia w ciemnościach jak kot.

Rechtot Jerem'ego stawał się coraz bardziej donośny i histeryczny.

– Głupia suka! – zawołał i nie miałam żadnych wątpliwości, że chodzi mu o mnie.

Jim wyszedł ostrożnie zza słupa i wtopił się w ciemność, podążając w kierunku, z którego dochodził głos. Co prawda widział w obecnych warunkach znacznie lepiej niż ja, ale nawet on nie potrafił przeniknąć wzrokiem ciemności tak absolutnych. Tym razem musiał wytropić „zwierzynę” po dźwiękach, które wydawała, co oznaczało, że przez cały czas

musiałam rozmawiać z Jeremym. Sytuacja stawała się dość paradoksalna, bowiem w czasie, kiedy Jim skradał się w stronę Jeremy'ego, Jeremy podkradał się do mnie.

W zasadzie nie było się czym przejmować – przecież to tylko niebezpieczny piroman uzbrojony w salamandrę w kuli z magicznego szkła, który zamierzał puścić całą Atlantę z dymem. W tej sytuacji najważniejszą rzeczą było odebranie mu kuli, bo gdyby celowo czy przypadkiem została rozbita, z pewnością zyskałabym większą sławę niż krowa niejkiej pani O'Leary*.

– Do licha, Jeremy, powinieneś popracować nad zasobem słów – kontynuowałam wymianę zdań. – Zdzira, franca, stara torba, kurwa, szmata, dziwka, a to tylko kilka z tysiąca innych, których mógłbyś użyć. Popatrz sam, tyle wspaniałych określeń, a ciebie stać co najwyżej na „sukę”. Wiesz co, Jeremy, daj mi lepiej tę salamandrę, zanim zrobisz sobie krzywdę.

– Mogę ci co najwyżej dać obciągnąć druta... dziwko! – syknął Jeremy.

Po mojej lewej rozbłysła nagle iskra. Dostrzegłam pulsujący punkt, który oświetlał pokryty łuskami pysk salamandry i rękę Jeremy'ego. Jeremy uderzył

* Katarzyna O'Leary (1827-1895) – irlandzka imigrantka mieszkająca w Chicago posądzona o spowodowanie wielkiego pożaru Chicago 8 października 1871 r. Według pogłoski trwający dwadzieścia pięć godzin pożar miała spowodować krowa pani O'Leary, która kopnęła pozostawioną w oborze lampę naftową (przyp. tłum.).

w szklaną kulę pięścią. Szkło pękło i z wnętrza wydobyła się kolejna iskra. W powietrze wystrzelił niewielki ładunek energii, który eksplodował światłem.

Zdążyłam umknąć za słup dokładnie w chwili, kiedy uderzył w niego ogień. Języki płomieni lisnęły mnie z obu stron. W nozdrza wdarł się ostry fetor siarki.

– Chybiłeś o jakiś kilometr, Jeremy! – zadrwiłam. – Strzelasz panu Bogu w okno, i ta salamandra także.

– Zamknij się i zdychaj! – wrzasnął rozwścieczony Jeremy.

Pomyślałam, że Jim podszedł już wystarczająco blisko. Wychyliłam się zza słupa.

– No już, chodź do mnie, ty nieudaczniku z gównem zamiast mózgu. Czy ty w ogóle potrafisz zrobić coś dobrze?

Nagle zobaczyłam płomienie. Uskoczyłam w bok i przetoczyłam się po podłodze. Tuż nad moją głową przemknęła fala ognia, wyjąc jak rozwścieczone zwierzę. Rękojeść noża sparzyła mi palce. Powietrze w płucach stało się niewyobrażalnie gorące, a oczy zaczęły łzawić. Przycisnęłam twarz do pokrytego kurzem betonu, modląc się w duchu, by nie zrobiło się jeszcze goręcej. Widocznie ktoś wysłuchiwał moich błagań, bo nagle wszystko zamarło.

Niech to szlag, zakląłam pod nosem. Skoczyłam na równe nogi i ruszyłam w kierunku Jeremy'ego.

Salamandra w kuli rozbłysła jaskrawym światłem. W jej blasku zobaczyłam drwiący uśmiech Jeremy'ego, który raptem zniknął, gdy na gardle

mężczyzny zacisnęły się ciemne dłonie Jima. Podpalacz znieruchomiał i zwiotczał w uścisku mojego partnera jak bezwładna szmaciana lalka, a kula ze szkła wysunęła mu się z dłoni...

Skoczyłam jak szalona i złapałam ją jakieś dziesięć centymetrów nad podłogą. W tej samej chwili znalazłam się twarzą w twarz z salamandrą. Rubinowo-czerwone oczy patrzyły na mnie z zaciekawieniem. Potem stworzenie rozchyliło czarne wargi, a z jego pyszczka wysunął się długi, przypominający włókno pajęczej sieci język, który dotknął kuli w miejscu, gdzie na szkłe widoczne było odbicie mojego nosa. To było jak coś w rodzaju pocałunku. Hej, ja też cię kocham!

Podniosłam się ostrożnie na kolana, a następnie na nogi. Wyraźnie czułam obecność salamandry w moim umyśle; była jak kociak spragniony piesszczot, który natarczywie wygina grzbiet, domagając się głaskania. Zamajaczyła przede mną wizja płomieni i gorącego powietrza. *Spalmy coś razem*, usłyszałam szept. Natychmiast zamknęłam salamandrę dostęp do mojego umysłu. Raczej nie, moja droga, wyszeptalam bezgłośnie.

Jim rozluźnił uścisk, w którym trzymał Jeremy'ego, i ciało mężczyzny osunęło się na beton jak ciężki, mokry koc. Zastygłe białka oczu gapiące się nieruchomo w sufit z martwej maski twarzy świadczyły, że śmierć zupełnie go zaskoczyła. Nie było nawet po co sprawdzać pulsu. Cholera. I po premii.

– Mówiłeś, że za żywego dostaniemy więcej – wymruczałam do Jima. Oczywiście za trupa również

mieliśmy zgarnąć sporą sumę, ale w tej sytuacji mogliśmy pomachać na do widzenia jakiejś jednej trzeciej nagrody. Byłam zła na mojego partnera.

– To nie ja – wyjaśnił Jim, odwracając ciało Jeremy’ego, by pokazać mi jego plecy. Dokładnie spomiędzy łopatek wystawał stalowy pocisk zakończony trzema czarnymi piórami. Zanim w pełni do mnie dotarło, na co właśnie patrzę, uskoczyłam na podłogę za filar, starając się chronić salamandrę. Nie wiem jakim sposobem, ale Jim już tam był.

Zaczęliśmy wpatrywać się w mrok. Nic, tylko ciemność i cisza.

Ktoś zastrzelił naszą ofiarę z kuszy. Z równą łatwością mógłby zastrzelić również nas – staliśmy przy ciele Jeremy’ego jakieś cztery sekundy, a to przecież wystarczająco dużo czasu na oddanie dwóch strzałów. Dotknęłam ramienia Jima, a potem swojego nosa. Skinął głową na znak, że zrozumiał. Przy takim smrodzie siarki prawdopodobnie nie byłby w stanie nic poczuć, nawet gdyby skunks opryskał mu twarz. Leżałam nieruchomo i starałam się oddychać w miarę bezgłośnie. Najlepszym i jedynym rozwiązaniem było teraz nasłuchiwanie.

Minuty przeciągały się w nieskończoność. W końcu Jim podniósł się i przykucnął, a następnie skinął głową w lewo. Miałam niewyraźne przeczucie, że drzwi znajdują się raczej na prawo, ale w absolutnych ciemnościach, skrywających przyczajonego kusznika, wołałam raczej zaufać zmysłom Jima niż własnej intuicji.

Jim przerzucił sobie zwłoki Jeremy'ego przez ramię i mocno pochyleni ruszyliśmy truchtem przed siebie, Jim pierwszy, a ja, na wpół ślepa, w pewnej odległości za nim. Mijaliśmy betonowe słupy, jeden, drugi, trzeci, czwarty... I w tym właśnie momencie nastąpiło uderzenie techniki. Dosłownie zanim zdążyłam opuścić uniesioną w biegu nogę, magia odplynęła ze świata, pozwalając, by sponiewierana technologia przebudziła się do życia. Jarzeniówki na suficie zamrugały, po czym, bucząc i brzęcząc, załąły garaż słabym sztucznym światłem. Jakies trzy metry przed nami zamajaczył czarny prostokąt wyjścia. Jim zanurkował do środka. Ja nie byłam dość blisko, więc uskoczyłam w lewo, za jeden ze słupów. Salamandra w kuli przestała błyszczeć i zapadła w coś w rodzaju drzemki. Wyglądała teraz jak nieszkodliwa jaszczurka. A zatem nie mogłam liczyć na broń o dużym zasięgu.

Odłożyłam kulę na podłogę i wysunęłam Zabójcę z futerału. Salamandra okazała się jednak przerekłomowana.

– Już go tu nie ma – powiedział stojący w wyjściu Jim. Wskazał coś za mną.

Obróciłam się. W oddali zobaczyłam zburzoną betonową ścianę, za którą znajdował się wąski tunel prowadzący prawdopodobnie na górę, do ulicy. Jim miał rację, jeśli kusznik rzeczywiście chciał nas pozabijać, miał na to aż nadto czasu.

– A więc zastrzelił z ukrycia nasz cel, a potem uciekł? – spytałam zdziwiona.

– Wygląda na to, że właśnie tak było – stwierdził w zamyśleniu Jim.

– Nie kapuję. – Wzruszyłam ramionami.

Jim potrząsnął głową, jakby usiłował pozbyć się jakichś myśli.

– Nad tobą ciąży cholerne fatum – rzucił.

– Przypominam ci, że to było twoje zlecenie, nie moje.

W chwili, gdy to powiedziałam, znad drzwi poleciał na podłogę snop iskier – zielony napis WYJŚCIE właśnie „powrócił do życia”. Jim gapił się na niego przez chwilę, a rysy jego twarzy zaczęły nabierać wyraźnie kocich cech, gdy wstręt i poczucie nieuchronności zlały się w jedno. Jeszcze raz potrząsnął głową.

– Zaklepuję strzałę z jego pleców! – zawołałam.

– Na zdrowie.

Odezwał się pager Jima. Sprawdził go i w tym samym momencie skrzywił się w dobrze mi znany sposób.

– O nie, nie możesz tego zrobić – zaprotestowałam, dokładnie wiedząc, co ten grymas wróży. – Nie poniosę go sama!

– Sprawy Gromady – rzucił, ruszając w kierunku wyjścia.

– Jim! – spróbowałam raz jeszcze, powstrzymując się przed rzuceniem w niego czymś ciężkim. Zasadniczo dość skutecznie wyszukiwał dla nas zlecenia, a w dodatku należał do Rady Gromady. Zresztą nie chodzi o to, że uważałam Jima za złego przyjaciela. Po prostu był zmiennokształtnym i na skali od

jednego do dziesięciu Gromada niezmiennie dostawała jedenaście punktów, a wszyscy pozostali – jeden. Interesy Gromady miały pierwszeństwo zawsze i wszędzie, bez względu na okoliczności.

Gapiałam się bezmyślnie na ciało Jeremy'ego, leżące na podłodze bezwładnie jak worek ziemniaków. Miałam przed sobą jakieś siedemdziesiąt pięć kilo martwej wagi. Nie było takiej opcji, żeby nieść jednocześnie zwłoki i salamandrę. Nie brałam też pod uwagę pozostawienia salamandry bez opieki. Magia mogła uderzyć ponownie w każdej chwili i moja mała, niewinna jaszczurka znów przeistoczyłaby się w ognistą bestię. No i oczywiście nasz tajemniczy kusznik mógł wciąż tu krążyć, pomimo zapewnień Jima. Musiałam wydostać się z garażu, i to niewątpliwie jak najszybciej.

Niestety to naprawdę nie było takie proste. Miałam przed sobą Jeremy'ego i salamandrę, każde warte ze cztery kawałki. Ostatnio nie pracowałam zbyt często dla Gildii, a już na pewno nie zdarzały mi się zlecenia o tej wartości. Nawet po podzieleniu całej sumy na pół otrzymałabym kwotę, dzięki której spłaciłabym raty kredytu hipotecznego za kolejne dwa miesiące. Właśnie dlatego myśl, że miałabym zostawić te cztery patole na podłodze garażu, sprawiała, że czułam niemal psychiczny ból.

Jeszcze raz spojrzałam na Jeremy'ego, a potem na salamandrę i zaczęłam powtarzać w myślach: *Wybór, musisz dokonać wyboru.*



Urządник Gildii Najemników odpowiedzialny za wypłacanie honorariów, niewysoki, zadbany mężczyzna, gapił się ze zdziwieniem na głowę Jeremy'ego leżącą na blacie.

– A gdzie reszta? – spytał po chwili.

– Miałam drobny problem logistyczny – wyjaśniłam zdawkowo, nie wdając się w szczegóły.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– To Jim nagrał tę robotę, a potem cię zostawił, nieprawdaż? A więc będzie jeden czek do wypłaty?

– Dwa – poprawiłam go ze spokojem. Jim mógł być dupkiem, ale jeśli chodzi o kwestię podziału forsy za zlecenia, nie śmiałabym sobie z nim pogrywać. Dostanie ode mnie czek upoważniający do odbioru połowy nagrody.

– Kate, robisz z siebie popychadło... – stwierdził urzędnik.

Wychyliłam się przez ladę i, posyłając mu najlepszy z moich uśmiechów, wycedziłam słodko:

– A może chcesz mnie popchnąć i sprawdzić, czy się przewrócę?

– Nie, dziękuję – wycofał się szybko i klepnął dłonią w stos formularzy, który położył na kontuarze. – Wypełnij.

Jakieś dwa centymetry druczków – wyglądało na to, że spędzę nad nimi ładną godzinę. Gildia kierowała się dość luźnymi zasadami (była organizacją najemników, których interesowały zyski i niewiele więcej), ale każdy zgon musiała zgłaszać policji, co wymagało wprowadzenia pewnej dozy biurokracji. W konsekwencji i tak niewiele znaczące życie

Jeremy'ego zostało sprowadzone do ceny za jego głowę i mnóstwa starannie wyrysowanych, czystych rubryk na papierze.

Spojrzałam zaczepnie na formularz leżący na samym wierzchu.

– Nie muszę wypełniać R20.

– Masz rację – zgodził się urzędnik bez słowa sprzeciwu. – Pracujesz teraz dla Zakonu. – Odliczył z góry osiem kartek i wręczył mi resztę stosu. – Ten jest dla ciebie. Specjalne traktowanie VIP-ów.

– Jasne – mruknęłam i zgarnęłam papiery.

– Hej, Kate – usłyszałam w tej samej chwili. – Czy mogę ci zadać jedno pytanie?

Nie powiem, żebym była zachwycona dodatkowym zainteresowaniem. Chciałam szybko wypełnić te cholerne formularze, wrócić do domu i się zdrzemnąć, więc sama nie wiem, czemu wyrwało mi się:

– No dobra, wal.

Urzędnik przeszedł pod ladą. Gildia Najemników zajmowała obecnie dawny budynek Hotelu Sheraton na rogu Buckhead i w poprzednim życiu kontuar służył jako bar. Facet wyciągnął skądś ciemnobrązową butelkę i postawił ją obok wypolerowanych szklanek.

– Raczej nie zamierzam pić twojego tajemniczego eliksiru miłości – zażartowałam.

Zarechotał.

– To Hennessy. Dobra rzecz. Zapłacę za informacje.

– Dziękuję, ale nie piję – odmówiłam. Przynajmniej na razie nie, choć obiecywałam sobie, że nigdy

więcej. Co prawda nadal trzymałam w gabinecie butelkę sangrii, ale na naprawdę wyjątkowe i awaryjne okazje. Mocny trunek zupełnie nie wchodził w grę. – Jakie masz pytanie?

– Jak to jest pracować dla Zakonu? – wypalił urzędnik.

– Myślisz o wstąpieniu?

– Nie, nie! – uśmiechnął się. – Jestem tu szczęśliwy. Ale mam siostrzeńca, który chce zostać rycerzem Zakonu.

– Ile ma lat?

– Szesnaście.

Doskonale. Zakon lubił młodych kandydatów. Łatwiej zrobić im pranie mózgu. Przyciągnęłam sobie krzesło.

– Dasz mi szklanek wody? – poprosiłam.

Kiedy urzędnik przyniósł wodę, zaczęłam ją popijać małymi łydkami.

– Zasadniczo Zakon robi dokładnie to samo, co my: likwiduje niebezpieczne zagrożenia magiczne – zaczęłam. – Załóżmy, że po przejściu fali magii widzisz na drzewie w swoim ogrodzie harpię. Co robisz? Najpierw powinieneś zadzwonić na policję.

– Jeśli jesteś głupi i naiwny – wszedł mi w słowo urzędnik, uśmiechając się drwiąco.

Wzruszyłam ramionami.

– Policja informuje cię, że są teraz bardzo zajęci łapaniem olbrzymiego robaka, który próbuje połknąć budynek sądu federalnego, pouczają cię, że powinieneś trzymać się z daleka od harpii i obiecują,

że przyjadą, kiedy tylko będą mogli. Jak zwykle. Co zatem robisz? Dzwonisz do Gildii. Po co czekać na policję, skoro za trzysta zielonych para najemników upora się z harpią bez zbędnego zamieszania, a po wszystkim twoje dziecko dostanie nawet od nich śliczne pióro z ogona harpii do ozdoby kapelusza? Zgadza się?

– Zgadza.

– A teraz wyobraź sobie, że nie masz trzystu zielonych na zbyciu. Albo twoja sprawa ma kod dwa-naście – zbyt duży kłopot, by Gildia zechciała się nim zainteresować. Harpia nadal siedzi na drzewie w ogródku, a ty chcesz się jej pozbyć. Co robisz? Dzwonisz do Zakonu, bo słyszałeś, że oni aż tyle nie biorą. Przedstawiciel Zakonu zaprasza cię do siedziby, gdzie rozmawia z tobą uprzejmy rycerz. Tak naprawdę na podstawie tej rozmowy szacuje twój dochód, a potem przekazuje ci dobrą wiadomość: usunięcie harpii będzie cię kosztowało pięćdziesiąt zielonych, ponieważ to wszystko, na co cię stać. Kismet*.

Urzędnik przyjrzał mi się uważnie, po czym spytał bez owijania w bawełnę:

– Gdzie jest haczyk?

– Już mówię. Dają ci kawałek papieru do podpisania, na którym znajduje się twoja prośba o pomoc skierowana do Zakonu. Na tej umowie, dużymi

* Kismet – tureckie słowo oznaczające los, przeznaczenie w sensie fatum (przyp. tłum.).

literami, wypisane jest, że zgadzasz się na wszelkie działania Zakonu mające na celu usunięcie zagrożenia dla ludzkości, które mogą powstać w związku z przedstawionym przez ciebie przypadkiem.

Zakon Rycerzy Miłosiernej Pomocy nie mógł wybrać sobie lepszej nazwy. Zwykle „pomagał”, używając mieczy lub broni palnej. Problem polegał na tym, że czasami klient otrzymywał więcej „pomocy”, niż sobie życzył.

– Powiedzmy, że podpisałeś prośbę o pomoc – ciągnęłam. – Rycerze przychodzą i obserwują harpię. W tym samym czasie zauważasz, że za każdym razem, kiedy pojawia się ten przeklęty stwór, znika twoja zniechęcająca ciocia. Zaczynasz obserwować starszą panią i nabierasz pewności, że uderzenie magii obdarzyło ją mocą zmieniania się w harpię. Mówisz rycerzom, że chcesz odwołać całą sprawę – kochasz ciocię i to, że posiedzi sobie na drzewie, z pewnością nie stanowi dla nikogo żadnego zagrożenia. Rycerze słuchają, a potem odpowiadają, że pięć procent harpii przenosi na pazurach zarazki śmiertelnych chorób, w związku z czym zmuszeni są uznać twoją ciocię-harpię za zagrożenie dla ludzkości. Robisz się zły, zaczynasz na nich wrzeszczeć, potem wzywasz policję, ale oczywiście policja informuje cię, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem i oni nic nie mogą zrobić, a poza tym Zakon jest jednym z państwowych organów egzekwowania prawa. Obiecujesz więc, że zamkniesz ciocię i będziesz trzymał ją pod kluczem. Próbujesz przekupić rycerzy. Przyrowadzasz dzieci i usiłujesz przekonać

przedstawicielei zakonu, że bardzo kochają starszą panią i że są do niej bardzo przywiązane. Płaczesz. Błagasz. Ale i tak wszystko na nic. Wyrok już zapadł.

Wypiłam resztę wody.

– I na tym właśnie polega praca dla Zakonu.

Urzędnik nalał sobie setkę i wypił ją jednym haustem.

– Czy to naprawdę się zdarzyło? – spytał z niedowierzaniem.

– Owszem.

– Zabili tę starszą panią?

– Tak jest.

– Jezu!

– Jeśli twój siostrzeniec jest w stanie robić takie rzeczy, to możesz mu spokojnie powiedzieć, żeby zgłosił się do Akademii. Osiągnął wymagany wiek. Co prawda będzie mu dość ciężko pod względem fizycznym, no i dojdzie mu sporo nauki, ale jeżeli tylko się postara, to sobie poradzi.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Uderzyłam z rozmachem w stos formularzy.

– Z doświadczenia. Kiedy byłam dzieckiem, zapisał mnie tam mój opiekun. Rycerz-wróżbita.

– Nie żartuj! – mój rozmówca wydawał się zupełnie zaskoczony. – Jak długo tam wytrzymałaś?

– Dwa lata. Radziłam sobie ze wszystkim całkiem dobrze. Niestety mieli problemy z moim mentalnym uwarunkowaniem. Mam wrodzony wstręt do autorytetów i władzy. – Uznałam rozmowę za zakończoną. Podniosłam formularze i ruszyłam do jednego ze stolików w drugiej części pomieszczenia.

Prawda była taka, że nie radziłam sobie całkiem dobrze. Radziłam sobie wspaniale, co potwierdzały wyniki testów. Otrzymałam stopień czeladnika-wybrańca. Kłopot w tym, że nienawidziłam tego wszystkiego. Zakon wymagał całkowitego poświęcenia się służbie, a ja miałam własne priorytety. Chciałam zabić człowieka dysponującego największą mocą na świecie, a to zadanie wymagało zaangażowania, więc tak naprawdę niewiele pozostawało mi czasu i ochoty na cokolwiek innego. Rzuciłam służbę dla Zakonu i zaczęłam pracować dla Gildii Najemników, wbijając tym samym Gregowi nóż w samo serce.

Greg był naprawdę wspaniałym opiekunem, wręcz fanatycznym w swej determinacji, by mnie ochraniać. Zakon stanowił miejsce, w którym, według niego, byłam najbezpieczniejsza. Gdyby bowiem ten, którego szukałam, dowiedział się o moim istnieniu, z całą pewnością próbowałby mnie zabić i ani Greg, ani ja nie mielibyśmy wystarczającej mocy, by go powstrzymać. W każdym razie jeszcze nie wtedy. Gdybym została w Zakonie, każdy z rycerzy broniłby mnie do ostatnich sił. Uznałam jednak, że zapewnienie sobie w ten sposób bezpieczeństwa wymaga z mojej strony zbyt wielkiego poświęcenia. Nienawidziłam tej roboty, więc pewnego dnia zdecydowałam, że nasze drogi – moja i Zakonu – muszą się rozejść. Odeszłam i nie żałowałam tego kroku.

A potem Greg został zamordowany. Żeby odnaleźć zabójcę, wróciłam do Zakonu i zostałam wmanipulowana w ich śledztwo. Znalazłam mordercę

i zabiłam go. Cała ta sprawa była makabryczna i do dziś mam dreszcze, kiedy ją wspominam. Przeszła do historii jako przypadek Maniaka z Czerwonego Punktu. Podczas wspomnianej sprawy wyszło również na jaw, że Zakon bardzo chciałby mnie z powrotem. Nie silili się zresztą na subtelności, by mnie o tym poinformować.

Zaproponowali mi pracę w charakterze pośrednika pomiędzy Zakonem a Gildią Najemników, obiecali biuro po Gregu, jego akta, możliwość załatwiania spraw mniejszej wagi oraz stałe dochody. Zgodziłam się. Po części dlatego, że czułam się winna – unikałam kontaktów z Gregiem po rzuceniu Akademii. Po części dlatego, że miałam w tym interes – ciążyły na mnie dwie hipoteki, jedna na dom mojego ojca w pobliżu Savannah, druga na apartament Grega tu w Atlancie. Gdybym musiała zrezygnować z któregoś z tych miejsc, czułabym się, jakby ktoś wyrwał mi kawałek ciała. Gildia płaciła dobrze, ale zlecenia obejmowały niewielki teren w pobliżu Savannah, w związku z czym naprawdę poważna i dobrze płatna robota zdarzała się może raz na pół roku. No cóż, pokusa dużych pieniędzy okazała się zbyt silna, bym mogła odmówić.

Wiedziałam, że mój związek z Zakonem nie będzie trwać wiecznie, ale jak na razie okazywał się korzystny dla obu stron. Jeszcze mi się nie zdarzyło zalegać ze spłatą kredytu, a gdy tylko wypełnię te formularze, będę ustawiona na kolejny miesiąc lub nawet dwa.

Po wpisaniu numeru identyfikacyjnego w wymaganych rubrykach na dziesięciu kolejnych formularzach, musiałam jeszcze odpowiedzieć na pytania kwestionariusza kontrolnego (zaznacz „tak” lub „nie”). Tak, działałam w samoobronie. Nie, nie sądzę, by siłą, której użyłam wobec osoby podejrzanej, była niewspółmierna do zagrożenia, które ta osoba stwarzała. Tak, uznałam, że osoba podejrzana może być bardzo niebezpieczna zarówno dla mnie, jak i dla innych osób. Kiedy dotarłam do pytania: „Jakie były w twojej ocenie zamiary osoby podejrzanej”, wpisałam: „Zamierzała puścić z dymem całe miasto wskutek kompletnego szaleństwa”.

Kiedy w końcu wyszłam z budynku Gildii Najemników, zamykając za sobą ciężkie, wzmocnione stałą drzwi, niebo przybierało ten charakterystyczny szary odcień zapowiadający wschód słońca. Przynajmniej miałam strzałę z pleców Jeremy’ego, no i stałam się bogatsza o trzysta zielonych, bo na resztę pieniędzy musiałam niestety poczekać do momentu, aż policja uzna zabicie podpalacza za bezwzględną konieczność. Zdawałam sobie sprawę, że niekoniecznie nastąpi to szybko i musiałam przeznaczyć całą zaliczkę na rachunki. Ale póki co rozkoszowałam się szelestem czterech pięćdziesięci dolarówek i pięciu dwudziestodolarówek spoczywających w mojej kieszeni. I właśnie to było Wielką Tajemnicą Wszechświata – bo niby wciąż miałam te pieniądze, a jednocześnie już ich wcale nie miałam.



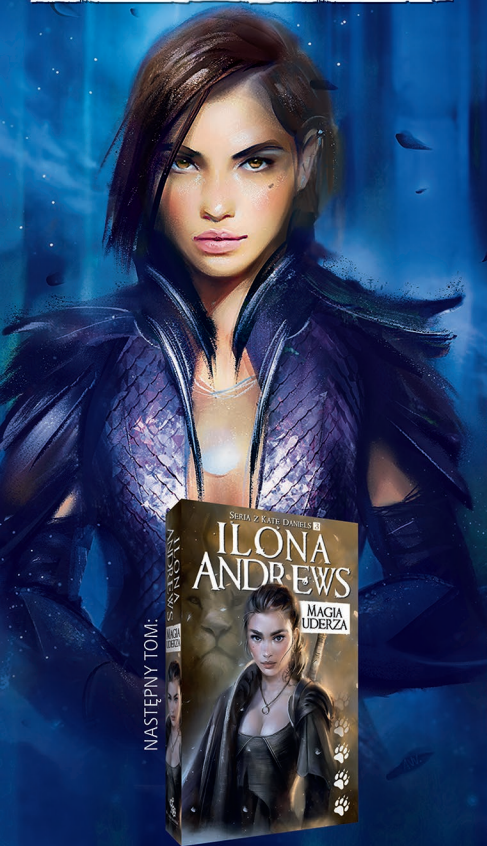
 Polub nas na
facebooku



KUP TERAZ

ILONA ANDREWS

MAGIA PARZY



Uzależniający, intensywny i szalony. W skali do 1 do 10 świat Kate Daniels ma ode mnie 12.

Aneta Jadowska

Atlantę nadal nawiedzają paraliżujące fale magii. Po serii jeszcze silniejszych wybuchów ulice roją się od mitycznych stworzeń i krwiożerczych dziwadet. Znaleziona w ruinach dziewczynka wymaga opieki. Antyczny heros wyposażony w kuszę i przerośnięte ego pojawia się w najmniej odpowiednich momentach i robi, co chce. Zaginął cały sabat czarownic, za to pojawiła się rozsierdzona bogini.

CAŁY TEN BAŁAGAN NIEUCHRONNIE PROWADZI KATE DO OSTATECZNEJ BITWY – Z PRADAWNĄ MAGIĄ I WŁASNYMI UCZUCIAMI.

Ta książka działa lepiej niż kofeina i w dodatku nie ma żadnych efektów ubocznych!

cmentarz-zapomnianych-ksiazek.blog.onet.pl

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7964-293-9



9 788379 642939

Wyłącznie
dystrybutor



39,90 zł*

* cena zawiera VAT

Patroni medialni:

gavran
FAN-BLOG.PL

KAWERNA



POLTERGEIST
FELICJA

BESTIARIUSZ

BOOK-IT.FEELITY

Wredotek.pl



PARADOKS

**KSIĄŻK*WE
K*CHA, NIE K*CHA**



SECRETUM.PL

Books Hunter